

HEROIZM W STYLU FRANCISZKAŃSKIM *)

(W setną rocznicę urodzin Brata Alberta)

Pamięć ludzka jest selekcyjna, bo zapomina o tym, co dla życia nie przedstawia żadnej wartości, a zachowuje wiernie to, co dla niego ma większe znaczenie. Postępuje z ludźmi tak samo jak ze zdarzeniami: pamięta tylko o tych, którzy wnoszą w życie zbiorowe — specjalne wartości, by w nim mogły pracować poprzez przyszłe pokolenia. Odchodzą od nas ludzie, którzy wnieśli w życie codzienny swój znój i razem z innymi pracowali dla społeczeństwa, a jednak nikt o nich nie będzie pamiętał po kilkunastu latach, nikt — prócz kilku znajomych, kilku bliskich z rodziny, a tylko wiara nam mówi, że o tych pracowitych szlachetnych szarakach w życiu pamiętać będzie na wieki Bóg.

Bóg i ludzie pamiętają jeszcze dzisiaj o Adamie Chmielowskim, o Bracie Albercie, choć już nadeszła setna rocznica jego urodzin. Widocznie wniósł w życie jakieś specjalne wartości, skoro pamięta o nim nie tylko Kraków, lecz cała Polska. *Vox populi*, głos ludu, opowiada o nim dzisiaj to, co zapisała jakaś kroniczka, jakiś odpustowy życiorys, jakaś broszura, jakaś praca poważniejsza; powtarza przede wszystkim to, co przeszło poprzez wdzięczne serca ludzkie jako złota legenda, jako hołd. Jak św. Franciszkowi sypano kiedyś pod stopy całymi wiekami *fioretti*, kwiatki ludzkich serc, tak Polska rzuciła pełnymi garściami swych uczuć kwiaty, swe *fioretti*, pod stopy tego wielkiego człowieka. *Vox populi*, głos ludu powtarzał nieustannie, że ten niezwykły człowiek powinien się znaleźć na ołtarzach.

*) Tygodnik Powszechny, r. 1946, nr 34.

Siła tego głosu była tak wielka, że wreszcie władze kościelne powołały w Krakowie do życia wstępną komisję do przebadania życia i działalności Brata Alberta na to, by w danym momencie zwrócić się do Rzymu z prośbą o zgodę na rozpoczęcie wstępnego aktu do procesu beatyfikacyjnego. Tak postępuje Polska wierząca, a kto w niej nie wierzy i zetknął się z żywym Bratem Albertem, nie potrafi ze swej duszy wyrugować czaru, jaki w niej ze spotkania pozostał. Nazywa się go u nas rozmaicie: Szarym Bratem, sługą Bożym, Albertem Wielkim, *Albertus Magnus*, pierwszym w Polsce tercjarzem, najpiękniejszym człowiekiem naszego pokolenia.

Kto sobie chce zdać sprawę z motywów, które doprowadziły do kultu tego człowieka, odzianego w brązowy samodiał, przypomni sobie, że się bił w powstaniu styczniowym o wolność ojczyzny, że jako malarz więził na swych obrazach oczy M. Gierymskiego i Stanisława Witkiewicza, że wreszcie z Adama Chmielowskiego stał się Bratem Albertem, który dla polskiej nędzy chciał się stać dobrym jak chleb.

Miał siedemnasty rok życia, kiedy w Instytucie puławskim zaczął spiskować w obrębie wtajemniczonej siódemki, by na dane hasło porwać za sobą kolegów do oddziału Frankowskiego. Oddział rozbito, ale Adam Chmielowski ze swym serdecznym przyjacielem, Frankiem Piotrowskim, wstąpił do oddziału Langiewicza. Rozbito Langiewicza, dwaj puławczycy dostali się do austriackiej niewoli i do twierdzy ołomunieckiej, ale zdołali zbiec, przekroczyć granicę i znowu Adam Chmielowski znalazł się w oddziale Zygmunta Chmielińskiego. Trzy razy wstępował w szeregi powstańcze, by wreszcie jako adiutant Chmielińskiego otoczyć się legendą, że ani jego, ani jego pułkownika żadna kula się nie ima. Rzeczywistość była silniejszą od legendy, bo Chmieliński ciężko ranny pod Bodzechowem, dostał się do niewoli, a bezpośrednio po tym ułamek granatu urwał stopę młodemu adiutantowi. Teraz zaczęła walczyć legenda z rzeczywistością. Opowiada się, jak Chmielowski sam odcinał od nogi zwisające części stopy; opowiada się, jak sam trzymał łożówkę w ambulatorium polowym, przyświecając lekarzowi w czasie amputacji nogi; opowiada się, jak poprosił o cygaro, by się czymś zająć podczas pracy chirurga.

Nie mniej odwagi trzeba było w życiu aniżeli na polu walki. Pojechał Chmielowski do Paryża, by uniknąć więzienia i ratować resztę nogi, ale przerwane były studia w Puławach i w warszawskim gimnazjum realnym. Rodzice nie żyli, ciotka Petronela w takich sprawach radzić nie mogła, a on był najstarszy z osieroconego rodzeństwa. Wrócił do kraju, zapisał się do Szkoły rysunków w Warszawie, lecz niebawem się wycofał, by uporządkować swoje studia i przygotować się do przyszłego życia, zdobywając świadectwo dojrzałości. Ten fakt musi sobie zapisać w notatniku ten, kto chce Chmielowskiego krytykować, przyznając mu wielkie serce, lecz brak planowości. Ze świadectwem dojrzałości w tłumoku pojechał do Paryża i Gandawy i znowu do Paryża, by już poświęcić się malarstwu. Pracowały jednak zrazu więcej oczy, aniżeli pędzle. Badał nowe kierunki malarstwa francuskiego, a potem pojechał do Krakowa, by się przypatrzeć pracy Matejki. Zrazu wielbił jak inni, ale niebawem zmienił swój sąd i wyjechał do Monachium.

Choć mało, bardzo mało dotąd malował, to jednak wiele widział, więc też nic dziwnego, że w monachijskiej Polonii dostał się od razu do tzw. sztabu, gdzie generałami byli Siemiradzki i Brandt. Wniósł w atmosferę polskich kolegów coś nowego. Rysował z trudem, malował gorzej niż inni, a jednak przynosił ze sobą coś, czemu wszyscy ulegali. Gierymski i Witkiewicz przyznawali, że Chmielowski miał w oku fantastyczne odczucie koloru. To niezawodnie działało na kolegów, ale to jeszcze nie było to, co wszystkich podbijało. Mówił o sztuce inaczej niż inni, mówił tak przekonywująco, że mu uległ nawet M. Gierymski, ten Gierymski, którego obrazy rozchodziły się w lot po całej Anglii. Trzeba czytać listy Adama Chmielowskiego do Łucjana Siemieńskiego, trzeba przeczytać rozprawkę „O istocie sztuki“ w *Ateneum warszawskim*, by się przekonać, jak wielką wagę przywiązywał do ekspresji, do ładunku uczuciowego w duszy, który się wyraża na płótnie. To był jeden czynnik, który podbijał kolegów monachijskich, ale silniej niż malarz oddziaływał tam człowiek. M. Gierymski i St. Witkiewicz stali się na całe życie najlepszymi przyjaciółmi Adama. Nie wierzył Gierymski, lecz wierzył Chmielowski; nie wierzył

Witkiewicz, ale Chmielowski miał w sobie tak głęboką i prostą religijność, że zdobył dla siebie na zawsze upartego Litwina. Gierymski uważał za nieszczęście Chmielowskiego to, że „więcej od siebie wymagał, aniżeli natura daje i dać może“ Było to bystre spostrzeżenie, które się miało sprawdzać, zwłaszcza w późniejszym życiu Brata Alberta.

Należał Chmielowski do typu introwersyjnego, był schizotypikiem, miał podkład melancholijny w swej duszy i skłonny był do marzycielstwa. Malował tak, jak go Pan Bóg stworzył. Wracał ze świata zewnętrznego do swych marzeń, do swych „michałków“ i z nich brał tematy do obrazów. W nich wypowiedziada się to, co nazywał ekspresją w malarstwie. Idylla, Francesca i Paolo. Bajka o dobrym synu co szukał wody życia — jako tematy monachijskie, Ogród miłości i Pogrzeb samobójcy — jako tematy warszawskie, wreszcie Szara godzina. We Włoszech, Ecce Homo, Wizja św. Weroniki i późne obrazy religijne — są wyrazem tej tendencji. Po chorobie w r. 1881 nastąpi jakieś przestawienie na świat zewnętrzny tak, iż zaczną się zjawiać krajobrazy bardzo określone z nad Zbrucza i Dniestru, konie, śnieżyce, wyjazdy na polowanie itp., gdzie się odnajduje impresjonizm.

Sledząc pracę malarską Chmielowskiego aż do roku 1880, trzeba przyznać, że w jego duszy dokonywał się jakiś zwrot, który bardzo trafnie podchwycił inny jego przyjaciel, Leon Wyczółkowski. Przeczuwał Wyczółkowski, że się na tym skończy: wstąpił Adam Chmielowski do nowicjatu OO. Jezuitów w Starej Wsi. Zachorował, opuścił zakon, leczyl się we Lwowie i u brata nad Zbruczem, aż wreszcie znalazł swe powołanie: rozpoczął pracę tercjarską, choć pędzla nie odkładał i tworzył więcej niż poprzednio. Musiał wreszcie odjechać i znalazł się w Krakowie 1884 roku, by tam już na zawsze pozostać. W Krakowie dokonało się ostateczne przeobrażenie jego duszy tak, iż z Adama Chmielowskiego zmienił się w Brata Alberta. Św. Franciszek z Assyżu i wielki mistyk św. Jan od Krzyża, stanęli na drodze jego życia jako jego wzory na zawsze, a w duszy rozpałiła się ta boża miłość, która umie się uprawować, umęczyć i zniszczyć dla dobra pokrzywdzonego brata.

Kraków był wówczas Arkadią, polskimi Atenami, małym Rzymem i siedliskiem bezdennej nędzy. Zaglądał Chmielowski do wszystkich czterech światów krakowskich, ale duszą całą ukochał tylko czwarty, ukochał polską nędzę.

Miłość Boga i człowieka umie wnijść każdemu do jego myśli, marzeń, do jego zmysłów, do jego oczu i uszu. Poszła Chmielowskiemu miłość Boga do oczu tak, iż dojrzał pod łachmanami bezdomnych boży obraz; poszła mu miłość do uszu, bo nasłuchiwał i dostrzegał to, co się działo na Wschodzie. Interesował się Sołowiewem, śledził ruchy rewolucyjne z głęboką refleksją, stawiając sobie pytania na przyszłość. Wstąpił do konferencji akademickiej św. Wincentego à Paulo, zapoznał się z ks. Siemaszką, co w Krakowie najpierw zajął się bezdomnymi chłopcami, odnowił przyjaźń z dawnymi powstańcami, z ks. Kalinowskim, u Karmelitów, z O. Nowakowskim u Kapucynów. Zaczął się równocześnie wgłębiać w pisma św. Jana od Krzyża, w Przewodnika dla tercjarzy i w orędzia społeczne i franciszkańskie.

Miał dziwną zdolność odgadywania przyszłości, przeczuwania zdarzeń. Można by tu cytować rozmaite fakty i anegdoty, ale ważniejszym było by pytanie, skąd to wszystko pochodziło. Pochodziło w największej chyba mierze z intuicyjnego wgłębiania się w duszę konkretnego człowieka, a zwłaszcza tego, co został pokrzywdzony przez panujące stosunki społeczne. Zebrał około siebie bezdomnych przy ulicy Basztowej, potem na Wenecji u Ludwika Dębickiego, ale to mu nie wystarczało: tęsknił ciągle do tego miejsca, gdzie się gromadziła największa nędza krakowska, tęsknił do miejskiej ogrzewalni. Pracował, obserwował i słuchał. Tym słuchem, który się zaostrzył nadal, bo weszła weń miłość Boga i pokrzywdzonego człowieka, słyszał, jak na Wschodzie przygotowywało się coś wielkiego. Znał Rosję z czasu swego pobytu w petersburskiej szkole kadetów, znał ją z Królestwa i z za Dniestru i Zbrucza, dostrzegał, że się tam coś nowego rodziło.

W roku 1888 dokonały się dwa najważniejsze fakty w życiu Brata Alberta: zamknął się w ogrzewalni z bezdomnymi i wydał Przewodnik dla tercjarzy. Obydwa fakty najściślej ze sobą

się jednoczą. We wstępie do Przewodnika mówi o komunizmie chrześcijańskim w regułach zakonnych; w ogrzewalni wypróbował, jak tego rodzaju komunizm może z miłości Boga posunąć się do pewnych inicjatyw i ofiar. Zrozumiał jedno, zrozumiał to, że od takiej miłości, jak mawiał św. Wincenty musi się zapocić czoło, muszą zabołek ręce i nogi; zrozumiał, że taka miłość musi doprowadzić do bezwzględnego ubóstwa, jeżeli ma być twórczą w swych poczynaniach, zrozumiał, że musi wrócić do pierwotnej reguły św. Franciszka i do pierwotnej jego idei bezwzględnego ubóstwa.

Jako hasło obrał dla siebie i dla swoich zgromadzeń słowa św. Franciszka z Assyżu: ani miejsca, ani domu, ani żadnej rzeczy. Tłumaczono mu, że w ten sposób pracować nie można, ale on powtarzał franciszkańskie: „ani miejsca, ani domu“; chciano mu dawać, ale on nie chciał brać, nie chciał brać bo rozumiał, że gdyby wziął coś na własność, dzieliłaby go przepaść od bezdomnych wszystkich ogrzewalni i nor świata. Bał się swoich i obcych, by mu jego idei bezwzględnego ubóstwa nie zabito, nie zniekształcono. Niedługo przed śmiercią jechał do prawnika dla ostatecznego ustalenia konstytucji swych zgromadzeń, ale w drodze powtarzał z lękiem: co oni zrobią z moim ubóstwem, co oni z nim zrobią. Zemdlął i trzeba było wrócić do domu.

Pracował, próbował i ciągle słuchał. W swej chatce na Kalatówkach koło Zakopanego słyszał lepiej aniżeli w Krakowie. Tam, w Poroninie i Zakopanem, przygotowywała się wielka rewolucja na Wschodzie. Mówią, że w Zakopanem spotkał się z Leninem w domu Bucharinów. Trudno to dzisiaj stwierdzić, ale to pewne, że na Kalatówkach sejsmograf w duszy Brata Alberta notował to, co się tam działo u dołu. Przeczuwał nowy świat i był przekonany, że na jego zdobycie będzie można pójść tylko bez oręża i z taką miłością w duszy, że od niej zabolą gnaty i głowa i własna skóra.

Vox populi, głos ludu woła od śmierci Brata Alberta, że temu człowiekowi należy się miejsce na ołtarzach. Nikt tu przesądzać nie może, nie powinien, ale wszyscy wiemy, lub wyczuwamy, że od czasów św. Franciszka z Assyżu nikt tak

gorąco nie ukochał ubóstwa i biednego człowieka jak Brat Albert.

Ilekcroć lud niemal jednogłośnie woła, żeby kogoś podnieść na ołtarze, manifestuje przez to, że dostrzegł w jego życiu pierwiastek heroiczny. W którym z trzech okresów życia szukać tego pierwiastka u A. Chmielowskiego? We wszystkich.

Jako 18-letni młodzieniec wyszedł z powstania styczniowego z kikutem zamiast nogi i z rozbitymi studiami, lecz bez słowa skargi. Rozbijano jego oddziały, wzięto go do niewoli, ale ciągle wracał do szeregów, dopóki nie nadeszła katastrofa. W drugim okresie jego życia pisał o nim M. Gierymski, że „żądał od siebie więcej aniżeli natura daje i dać może“. Wyszedł znowu bez słowa skargi z tej wewnętrznej, mrocznej walki, jaka się rozpoczęła w nowicjacie OO. Jezuitów w Starej Wsi, a skończyła się w Kudryńcach nad Zbruczem. W trzecim okresie życia stoczył przeciągłą i zwycięską dla siebie walkę z własnymi przyjaciółmi i doradcami o ideał bezwzględного ubóstwa jako o warunek skutecznej pracy nad bezdomnymi. Zrozumiał Brat Albert ze św. Tomaszem, że kult Boga i sprawiedliwość społeczna są tymi dwiema wielkimi sprawami w naszym życiu, dla których nieraz trzeba poświęcić dosłownie wszystko. Brat Albert góruje nad Adamem Chmielowskim, powstańcem i malarzem, choć stanowią razem nierozzerwalną osobowość. Kiedy po ślubie bezwzględного ubóstwa zamknął się w ogrzewalni, wkreślił w album Konstantego Przeździeckiego znamiennej winietę, gdzie w estetycznym układzie zaznaczył jedyną własność, jaka mu pozostała: habit z różańcem i palmę z obrazkiem Matki Bożej, a wśród tego wszystkiego zapisał jako triumfalny hymn tercjarską modlitwę: *Laus Deo, semper laus* — Chwała Bogu, zawsze chwała.

Motywy winiety znalazły się na okładce mej książki o Bracie Albercie, która wyszła spod tłoczni drukarskiej dosłownie w wigilię setnej rocznicy jego urodzin (20 sierpnia). Powstała ona z artykułu, jaki przed sześciu tygodniami zacząłem pisać dla „Tygodnika Powszechnego“, myśląc o setnej rocznicy. Pod wpływem zewnętrznej podniety artykuł rozrastał się w rozmaitych kierunkach i zmienił się w książkę. Wróciłem do daw-

nych notat i refleksyj, wypełniałem luki z pomocą sióstr i braci Rodziny Brata Alberta. Najlepszą częścią książki są wydane przeze mnie po raz pierwszy w całości Listy Brata Alberta do Ł. Siemieńskiego. Niech przynajmniej ta częśćka utoruje drogę przyszłemu biografowi i będzie aktem hołdu dla niezapomnianego przez nas, niezwykłego człowieka, który jeszcze więcej należy i należeć winien do nowej Polski, aniżeli należał do dawnej.